

W życiu piękne są tylko chwile

3 marca 2019

Utwory Dżemu grane od czterech dekad stały się częścią polskiej tożsamości, każdy wie jak dokończyć słowa piosenek „Czerwony jak cegła”, „Wehikuł czasu”, „List do M.”, „Whisky” czy „Naiwne pytania”. Zespół w tym roku obchodzi 40-lecie, ma się w świetnej formie i w najbliższych dniach zagra dwa koncerty w Wielkiej Brytanii – Londynie i Manchesterze. Wywiadu udzielił nam basista i jeden z założycieli grupy Beno Otręba.



– Jak wyglądały początki Dżemu?

– Początki sięgają 1973 roku, graliśmy wtedy covery, śpiewał Paweł Berger. Była duża konkurencja pomiędzy kapelami grającymi na żywo, bo nie było jeszcze żadnych dyskotek. Dużo wtedy improwizowaliśmy, co było na początkach lat 1970. bardzo popularne. Kochaliśmy muzykę i byliśmy ze sobą w dobrym kontakcie. Dużo spraw tzw. artystycznych omawiało się przy piwku, bo jesteśmy piwoszami. Zawsze po koncercie były gorące dyskusje, jak grać, co zmienić.

– Podobno początkowa nazwa zespołu uległa zmianie w dość

zabawnych okolicznościach?

– Na początku nazywaliśmy się „Jam” od „jam session”. W pewnym momencie pani plastyczka robiąc plakat napisała przez pomyłkę „Dżem”. To nam się tak spodobało, że postanowiliśmy zmienić nazwę na „Dżem”, i tak już to zostało.

– Pamięta pan pierwszy koncert?

– To były potańcówki, graliśmy na żywo, więc ludzie reagowali. Jak coś im się nie podobało, od razu była ostra reakcja. Na naszych koncertach był zazwyczaj dobry klimat, ale nigdy nie było wiadomo na kogo się trafi, jedna wielka niewiadoma. Wtedy była dość ostra konkurencja i trzeba było się mocno starać, żeby w tym wszystkim zaistnieć.

– Jak wyglądało dołączenie do zespołu Ryszarda Riedla?

– Przyszedł na którąś próbę, był wtedy młodym chłopaczkiem, miał z 17 lat, przyprowadził go perkusista Olek Wojtasiak. Zaśpiewał swoim zaśpiewanym angielskim utwór „Feelin’ Alright”, który wcześniej wykonywał Paweł Berger. Od tamtej pory reszta zespołu śpiewała już tylko w chórkach. Graliśmy głównie standardy bluesowe, dzięki czemu nauczyliśmy się grać.

– Jakim człowiekiem był Ryszard Riedel w pana odczuciu?

– To był człowiek przede wszystkim bardzo pogodny z poczuciem humoru. Radosny młody chłopak, jak każdy z nas wtedy. Bawiliśmy się tym wszystkim i bardzo nas cieszyło, że możemy to robić.

– Czy piosenka „Skazany na bluesa” można powiedzieć, że jest o nim?

– Ten tekst napisał Rysiek... Był on poświęcony Ryszardowi Skibie, harmonijkarzowi z zespołu Kasy Chorych i przyjacielowi Riedla, który niestety zmarł z przedawkowania narkotyków. Riedel wtedy też już brał, myśmy myśleli, że z tym jest jak z alkoholem, nie wiedzieliśmy o co tu chodzi, nie bawiliśmy się

w to. Na początku brał dla zabawy, wydawało się, że panuje nad tym. Teraz, kiedy gramy ten utwór to jest to też o nim między innymi.

– Jak w ogóle wyglądał proces tworzenia muzyki w zespole, kto pisał teksty, kto komponował?

– Teksty pisał Rysiek, korzystał również z tego, co mu przynosili różni ludzie, on to umiał fajnie powybierać, jak mu się coś spodobało brał to i dodawał osobisty ton i sznyt, to była taka kompilacja. W dużej mierze pisał o swoich problemach. Z muzyką zawsze ktoś miał jakiś pomysł i przynosił go na próbę. Rysiek grał na harmonijce i kłamrował muzykę swoim wokalem.

– To prawda, że przed wydaniem płyty „Cegła” wyruszyliście w trasę międzynarodową?

– Podczas Olsztyńskich Nocy Bluesowych zagraliśmy świetny koncert, któremu przysłuchiwał się wtedy Marcin Jacobson. Bardzo kibicował kapeli, po tym koncercie zajął się nami. Wcześniej graliśmy w Berlinie Zachodnim, głównie przed polską publicznością, ponieważ rodacy wtedy emigrowali właśnie tam. Czasem przyprowadzali swoich zagranicznych znajomych. Fajne czasy, większy luz niż teraz. Nie jestem socjologiem, ale może to wina smartfonów, że trudniej jest dziś usiąść przy stole i pogadać.

– Czy podczas nagrywania płyty „Cegła” przebiegło panu przez myśl, że może się ona stać jednym z najważniejszych albumów polskiego bluesa i rocka? I że będziecie grać te utwory tyle lat.

– Już wcześniej zdaliśmy sobie sprawę, że chcemy żyć muzyką i z muzyki... Nie bardzo wiedzieliśmy jak zrobić to drugie. (śmiej) Każdy z nas wtedy próbował jakichś innych dorywczych prac ale to inna historia; cały czas marzyliśmy... I nagle jakoś to się stało. Jak się o czymś marzy i konsekwentnie do czegoś dąży, to się czasami udaje. Zdajemy sobie sprawę, że mieliśmy

w tym wszystkim bardzo dużo szczęścia. Niewątpliwie zasługą był talent Ryśka, bo jako wokalista był niesamowity. Czuło się, że śpiewa całym sobą. On się bardzo wzorował na Paulu Rodgersie z bluesowej grupy „Free”.

– Na przestrzeni 40 lat istnienia zespołu Dżem było trzech wokalistów: Ryszard Riedel, Jacek Dewódzki i obecnie Maciej Balcar. Jak to wpłynęło na grupę i czy dzieli to historię zespołu na trzy etapy?

– Myślę, że jest to po prostu historia Dżemu. To, co my żeśmy przeżyli po odejściu Ryśka, można porównać do końca świata. Bardzo ważne było dla nas, aby to odbudować, musieliśmy to zrobić. To nie były sprawy ambicjonalne czy finansowe. My żeśmy w zasadzie zawsze klepali biedę. Jak już było dobrze i zaczęły pojawiać się pieniądze, to Rysiek nie mógł już grać, odszedł z zespołu i znowu zaczynaliśmy od początku. Zawsze wszystko toczyło się jak w sinusoidzie. Teraz znów jest fajnie. Udało się to wszystko ustabilizować. To co się wydarzyło mamy cały czas w sercu. To nas ukształtowało.

– W tym roku obchodzicie 40-lecie powstania zespołu, z tej okazji gracie wiele koncertów, z czego dwa w Wielkiej Brytanii. Graliście już wcześniej w Londynie. Jak wspominać tę wizytę?

– Pamiętam, że to były czasy, kiedy jeszcze przyjeżdżało się na paszport, były kontrole celne. A później to już było za czasów Unii Europejskiej i było bardzo fajnie. Nie wiem co komu przeszkadzała ta Unia. Teraz jeszcze pojedziemy na zasadach unijnych, ale później nie wiem jak to będzie wyglądało. Trzeba będzie znów załatwiać pozwolenia, wizy...

– Jak Londyn zapadł panu w pamięć z tamtych czasów?

– Zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Wcześniej znaliśmy go tylko z filmów. To wszystko wydawało się nierealne. Pozwiedzaliśmy Londyn biegiem. Byłem w szoku. W piątek wieczorem w metrze pełno ludzi, puby wypełnione po brzegi,

wszyscy bardzo mili, uśmiechnięci. Panował nastrój luzu, było bardzo kolorowo, inna mentalność. Polska kultura trochę tak jakby hamuje człowieka, tam z kolei zachęca do większego otworzenia się. Ostatnim razem jak graliśmy w Shepherd's Bush w Londynie, chociaż nie było już w sprzedaży biletów, widziałem, takiego wysokiego czarnoskórego mężczyznę, konika, który sprzedawał nasze bilety za rogiem. (śmiech)

– Spotkałam się kilka razy z określeniem, że „Dżem” to polscy Rolling Stonesi? Jak pan reaguje na takie porównanie?

– Jestem fanem zespołu The Rolling Stones, więc bardzo mi z tego powodu miło. Na pewno nie jesteśmy takimi gwiazdoram, nie stoi za nami taki sztab ludzi, PR-owców, choć oni do dzisiaj są tak naturalni, że fajnie się to ogląda i dobrze się tego słucha. W zeszłym roku byłem na ich koncercie w Warszawie – coś niesamowitego. W 1998 roku graliśmy support przed Stonesami na Stadionie Śląskim.

– Była to więc świetna okazja by się z nimi poznać!

– Mieliśmy zrobić sobie wspólne zdjęcie, tak było ustalone, ale wtedy przyszła pani prezydentowa Kwaśniewska i zabrała nasz czas. Zdjęcia nie udało się zrobić. Oni może i chcieli, ale tam inni ludzie mówią im, że czas już się skończył, koniec zdjęć i tyle.

– A mogliście razem pojamować...

– Nie no, koncert się skończył, publiczność jeszcze była na stadionie, a oni już w samolotach. To jest inna jazda trochę.

– Jedna z waszych już kultowych piosenek nosi tytuł „Wehikuł czasu”. Co z tych minionych lat chciałby pan przeżyć znów?

– Dużo mieliśmy dobrych chwil, ale i tych tragicznych. Nie oddałbym ich za nic w świecie. To nas ukształtowało. Dzięki temu myślimy tak jak myślimy, gramy tak jak gramy, bo to wszystko jest w nas.

– Czy w życiu faktycznie „piękne są tylko chwile”?

– Myślę, że to bardzo prawdziwy tekst. Rysiek go napisał. Zawsze miał przy sobie pozapisywane karteczki; pamiętam, że ktoś mu kiedyś gwizdnął notes, w którym miał szkice tekstów, zapiski. Później nagle odzyskał ten zeszyt, graliśmy reggae na próbie i nagle on na tych karteczkach znalazł ten tekst i mu podpasował. Później już graliśmy go na koncertach.

– Którą z piosenek pan najbardziej lubi grać dzisiaj po tych wszystkich latach?

– Utwór „Victoria” jest bardzo piękny i lubię go grać, „Naiwne pytania” ze względu na znakomitą reakcję publiczności, ludzie śpiewają z nami – to są właśnie te piękne chwile. Na samą myśl człowieka przechodzą ciarki. Być może stoi za tym prostota tego utworu. „Niewinni” wymagają ogromnego zaangażowania, tego nie można tak od po prostu zagrać, bo to jest bardzo osobisty tekst Ryśka. Gramy to też z całym wkurzeniem na tę sytuację.

– A czy są plany pracy nad nowym materiałem?

– Tak, każdy coś tam ma w zanadrzu. Myślę, że zimą przysiadziemy do tego. Nawet był plan, żeby na 40-lecie zagrać coś nowego, zobaczymy czy to się uda czasowo.

– Gdzie tkwi według pana tajemnica sukcesu 40 lat istnienia zespołu?

– Jesteśmy ze sobą szczerzy. Jak się komuś coś nie podoba, to mówi o tym otwarcie. Były kłótnie, ale nigdy na noże, raczej przepychanki w sprawach muzycznych. Połowę życia spędzamy w samochodzie, w ciągu roku przejeżdżamy trzy równiki, to jest 120 tys. kilometrów. Żeśmy się nie pozabijali, to znaczy, że mamy ogromny stopień tolerancji względem siebie. (śmiech) Był czas, że trochę za dużo było w tym wszystkim alkoholu, ale z tego też żeśmy jakoś wybrnęli. Mimo czarnych chmur zawsze pojawiało się słońce. To jest nasze życie. Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki.

– Ma pan jeszcze jakieś marzenie związane z zespołem, czy jest pan usatysfakcjonowany tym co było i tym co jest?

– Koncerty. Żeby grać jak najdłużej. Dla nas koncerty i kontakt z publicznością są jak narkotyk. Jak tylko nie gramy dłużej, to nam tego brakuje. Dopóki będziemy mieć siłę, będziemy grać.

Z Beno Otrębą rozmawiała Marietta Przybyłek

Zdjęcie: [Kubakocoj](#) (CC BY-SA-3.0)

Źródło: Cooltura24.co.uk